Numer okazowy. Bezpłatny.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 12. Grudzień 1931. Rok II.

NUMER POJEDYŃCZY 80 GROSZY
PRENUMERATA KWARTALNA 2 ZŁOTE

KURJER POWIEŚCIOWY

Czasopismo poświęcone książce. Wychodzi raz na miesiąc

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona 200 Zł., 1/2 strony 110 Zł., 1/4 strony 60 Zł.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Telefon 275-03. Senatorska 29. Warszawa. P. K. O. 13.355

Kronika literacka.

„Wyspa Lenina", powieść Edmunda Jezierskiego, przedstawia w sposób nader barwny tworzenie przez samych komunistów, na skutek decyzji Ligi Narodów, państwa komunistycznego na jednej z wysp Oceanu Spokojnego. Pomimo jednak wszelkich wysiłków, wobec ułomności natury ludzkiej, wprowadzanie w czyn haseł komunistycznych nie może się obyć bez takich przeżytków burżuazyjnych, jak policja, więzienie i t. d. Wkońcu cały gmach przyszłego raju zostaje zburzony przez dwa czynniki: kobietę i złoto. Przez całą powieść przewija się piękny duet miłosny dwojga komunistów, rosyjskiej żydówki i Anglika, którzy wkońcu dochodzą do przekonania, że tylko... (reszta w samej powieści).

„Zakazana Miłość" — Mieczysława Łuczyńska. Nad bohaterką powieści Elżą Rawiczówną przesuwa się orkan nawałnicy bolszewickiej. Opuszczona przez opiekuna, którego zabrała wojna, zostaje sama na gospodarstwie rodzinnego majątku w chwili najazdu bolszewickiego. Znosząc mężnie rozstrzelanie brata, stawia czoło nieszczęściom, jakie spadły na jej młode ramiona. Przeżywając całą gehennę chwil wojennych, nie upada na duchu i gdy minął straszny orkan, w cichym wołyńskim zakątku znów zapanowały cisza i spokój, a do Elży uśmiechnęło się szczęście oczami ukochanego człowieka.

„Esterka" — Mieczysław Jarosławski. Znany fakt historyczny w ujęciu znakomitego autora tętni potężnem życiem dawno minionych wieków, a postacie: Esterki, Mordochaja, Maćka Borkowicza i króla Kazimierza, jakby Matejkowskim malowane pędzlem, przykuwają uwagę czytelnika.

Książka ta cieszyć się będzie niewątpliwie wielkiem powodzeniem nietylko wśród prawdziwych smakoszów literatury pięknej, ale i pośród najszerszych warstw czytelników, do których zawsze potrafi przemówić głęboka psychologja konfliktów, napięcie akcji i niezwykłe piękno stylu.

„Ochotnicy Kaukascy" (romans wojenny) — Jerzy Jacek Rapacki. Ciężkie i krwawe przeżycia wojenne, położyły jakgdyby niezatarte piętno na twórczość Rapackiego. Po tomiku wspomnień p. tyt. „W marszu i w bitwie", w których autor opisał osobiste przeżycia swoje z czasów kampanji w 1915 r.w Galicji, ukazała się w druku większa praca młodego pisarza p. t. **„Ochotnicy Kaukascy"** romans wojenny. W orężnym szczęku krwawych walk karpackich — miłość Kaukazczyka i Polki — rwących się ku sobie z siłą żywiołu—których twarda konieczność rozdziela. Charakterystyka bratniego nam duchem a tak mało znanego Narodu Kaukaskiego, ciekawe typy żołnierzy Wielkiej Wojny, opisy bitew, obrazy dzikiej przyrody i głęboko odczuta poezja mogił ległych rycerzy — wszystko widziane i przeżyte niegdyś przez autora — czynią książkę niezmiernie ciekawą i poznania godną.

MICHAŁ ZEVACO.

„Fausta". Powieść rozpoczyna się od wstrząsającego dramatu u podnóża szafotu, na którym ma zginąć jedna z bohaterek tej powieści — Leonora, oskarżona o kalumnje przeciw biskupowi i o praktyki djabelskie. W chwili, kiedy wyrok ma już być wykonany, wydaje ona na świat dziecko, które kat miasta Paryża bierze na wychowanie. Dalszy ciąg powieści, to dzieje małej Violetty, którą widzimy w obozie cyganów, wędrujących z miasta do miasta. Losy jej dziwnie się splatają z losami tajemniczej kobiety Fausty, demona zła i przewrotności. Kobieta ta uzurpuje sobie prawa najwyższego dostojnika Kościoła. Jest ona spokrewniona z rodem Borgiów, stąd prawdopodobnie pochodzi jej obłędna manja wielkości. Akcja powieści jest niezmiernie zawiła i porywająca żywością. Młody Pardaillan gra w niej rolę genjusza prawdy i szlachetności, stającego zawsze w obronie praw uciśnionych. Powieść ta, to okres zaciekłych walk o władzę między Walezjuszami, Bourbonami i Gwizjuszami. Jedyny Pardaillan z całego tego rozpolitykowanego grona współczesnych mu ludzi, jeśli nawet bierze udział w tych walkach, to jedynie dla samej walki, lecz nigdy dla karjery, lub osobistych korzyści. To też w jego przygodach i w każdem wystąpieniu tkwi iskra prawdziwego genjusza walki, a nie zimnego wyrachowania i rozsądku.

„Miłość i Zemsta". Dwa niepowszednie usposobienia i charaktery: Fausta i Pardaillan spotykają się ze sobą i z tego zetknięcia się takich indywidualności — walka staje się nieunikniona. Fausta, jakkolwiek świetnie opancerzona przeciw pokusom ciała, jakkolwiek sprawiająca wrażenie nieugiętej amazonki, słabnie i zaczyna płonąć miłością do młodego bohatera. Pardaillana serce jednak nie jest wolne, to też prze-

chodzi koło niej obojętnie, co ściąga na niego jej zemstę.

„Uosobienie Zła". Teraz autor roztacza przed oczami czytelnika potężny obraz intryg i walk wewnętrznych, wstrząsających łonem Francji. Gwizjuszowie, chcąc zagórować nad wrogiemi sobie, jakkolwiek spokrewnionemi z nimi domami Walezjuszy i Bourbonów, sprzymierzają się z Faustą, która zgarnia w swe ręce wszystkie nici tajemnych intryg. Pardaillan i tu stawia jej mężnie czoła, broniąc prawdy i sprawiedliwości.

„Zmierzch Potęgi". Knowania Fausty i zastawione przez nią na Pardaillana sieci o tyle są skuteczne, że młody rycerz daje się na chwilę ponieść namiętności. Opamiętanie jednak przychodzi niezwłocznie i młodzieniec porzuca uwodzicielkę, której potęga zaczyna wkrótce słabnąć. Intrygi się ujawniają. Aresztowana przez władze papieskie, zostaje wtrącona do więzienia, gdzie wydaje na świat owoc swego przelotnego stosunku z Pardaillanem.

MICHAŁ ZEVACO.

FAUSTA.

I.

PROLOG.

Wiosenna noc, pełna czarów. W półmroku majaczą kontury katedry Notre Dame, która rozsiadła się szeroko, jak olbrzymi, tajemniczy sfinks. Tuż przy katedrze, pałac poważny, surowy.

Na gotyckim balkonie, tonąc w poświacie księżyca stoi jasna postać niewieścia. Rzekłbyś obraz jakiejś świętej dziewicy ożył, wyszedł z ram i ukazał się zdumionym oczom ludzkim, tak biała zjawa jest zwiewną i uroczą.

Drżąca i radosna, biegnie wzrokiem za oddalającą się elegancką sylwetką mężczyzny.

Ową białą zjawą jest Leonora, jedyna córka barona de Montaignes, oślepionego podczas rzezi hugonotów przez zbirów królewskich.

Pielęgnuje ona teraz biednego kalekę i jest jedyną osłodą jego smutnego żywota.

Młodzieniec, niknący w błękitnych mgłach wiosennej nocy, to znany ze swej okazałości, szlachetny książę Jan de Kervilliers, — jej kochanek.

— — — — — — — — — —

Leonora z niechęcią zmierzyła z balkonu, do wnętrza komnaty, wciąż jeszcze rozpamiętywując w sercu błogie chwile, dopiero co minione, kiedy, uwieszona na szyi Jana uczyniła mu słodkie a jednocześnie okropne dla niej wyznanie, że... zostanie matką.

Drżała przytem z lęku na samą myśl o tem, coby się stało, gdyby ojciec jej, śpiący w sąsiednim pokoju, dowiedział się o jej hańbie.

Usłyszawszy z ust Leonory groźną prawdę, Kervilliers zbladł śmiertelnie, przytulił ją jednak do piersi jeszcze goręcej i jął zapewniać, że wszystko da się wczas naprawić. Jutro rozmówi się z ojcem, jutro odbędą się zaręczyny, a za kilka dni zostanie jego ślubną małżonką.

Leonora wierzyła Kervilliers'owi bezgranicznie, to też wzrok jej błyszczał radością, pierś wzbierała dumą i szczęściem.

Nagle rozległ się brzęk. W szyby balkonu ugodził ciśnięty z ulicy kamień, który strzaskał szyby w kawałki.

Wraz z ciśniętym przez okno kamieniem, na posadzkę komnaty legł kawałek papieru, w którym był zawinięty kamień.

Leonora osłupiała narazie ze zdumienia i przestrachu, szybko jednak odzyskała równowagę duchową.

Ujrzała papier i zdjęta oburzeniem na śmiałka, który w ten sposób chciał się z nią porozumieć, chciała zmiąć nędzny świstek i wyrzucić go za okno... potem jednak zmieniła zamiar. Pochyliła się, niepewna narazie, potem pochwyciła papier i... przeczytała jego treść.

Tajemnicza kartka wypadła ze zmartwiałej z przerażenia dłoni, serce biednej dziewczyny ścisnęło się strasznym bólem, a na ustach zamarł jęk rozpaczy.

Oto jaka była treść kartki:

„Tylko Jego Ekscelencja książę biskup Farnèse, który odprawi jutro uroczystą rezurekcję w katedrze Notre-Dame, jest w stanie wytłumaczyć pani, dlaczego książę Jan de Kervilliers nie poślubi cię nigdy... nigdy..."

Od kogo mogła pochodzić ta złowróżbna kartka?

Biedna Leonora biedziła się przez całą noc myślami, zdjęta rozpaczą.

Tymczasem Jan de Kervilliers po powrocie do siebie, padł na kolana przed portretem Leonory, wiszącym na ścianie, i jął szlochać.

— Co takiego? *Ona* ma zostać matką? A więc zginęła!... Zgubiona jest na zawsze w opinji! A on? Nędznik!

— Dlaczegóż raczej nie padłem trupem na miejscu! I pomyśleć, że jutro będzie czekała na moje urzędowe oświadczyny! Co czynić? Uciekać! Uciekać, jak podlec... jutro — od samego rana! Uciekać!

— — — — — — — — — —

Podczas uroczystej sumy w katedrze, Leonora weszła nieśmiało do świątyni, jakkolwiek nigdy dotychczas, jako hugonotka, w niej nie była.

Przez całą noc cierpiała straszne męki duchowe. Jakie mogły być przeszkody do ich związku? A może Jan był już żonaty?

Biskup odpowie na jej pytania.

Zatrzymała się w kościele niepewna i drżąca... wbiła wzrok w główny ołtarz, przed którym w blasku jarzącym świec, w infule biskupiej, suto haftowanym złotem ornacie — — — stał legat papieski, intonując *Kirje*.

Leonora zaczęła przebijać się przez tłum... Musiała dowiedzieć się całej prawdy o Janie.

Spoglądając na hieratyczny przepych stroju i na wyniosłą postać biskupa, pomyślała w duchu, że taki człowiek, jak on, nie może skłamać, jest bowiem wyższy ponad wszystkie ułomności ludzkie.

Czuła w sercu trwogę.

Już, już miała wyrzec się rozmowy z biskupem, już miała oddalić się z kościoła, wyjść... uciec... nagle zagrzmiał głos dzwonka... zbliżyła się uroczysta chwila Podniesienia.

Wszystko umilkło... wszystkie głowy pochyliły się nisko... Leonora tylko stała tak blada, jakby śmierć dotknęła już ją swem skrzydłem...

Jego Ekscelencja Farnèse ujął w rękę monstrancję i odwrócił się twarzą do wiernych.

Leonora zdrętwiała... Stało się coś, graniczącego z szaleństwem: przecież twarz biskupa tak bardzo jest jej znana... i te oczy... ta jego płomienna uroda... Zna to wszystko... poznała go... Ależ to jest...

Nie! Nie! To halucynacja! Musi mu się przyjrzeć!

Leonora, nie wiedząc, co czyni, wpadła za kratę, oddzielającą kościół od ołtarza... wbiegła na jego

stopnie i oparła drżące dłonie na ramionach przerażonego biskupa... Z ust nieszczęśliwej padł tchnący najwyższym bólem okrzyk:

— Wielkie nieba! Janie! Mój kochanku! To ty?

Odtrącił ją pełen hieratycznego majestatu, jakby rzucając jej w twarz klątwę!

Wtedy Leonora padła na stopnie ołtarza u samych stóp bladego, jak marmur, biskupa.

Porwano biedaczkę i powleczono do więzienia.

Tymczasem książę Farnèse, inaczej książę de Kervilliers, biskup, a jednocześnie wiarołomny kochanek, szeptał zbielałemi usty:

— Przeklęty! Przeklęty jestem! Potępiony!

* * *

Na placu Grève dokoła szubienicy, zgromadził się hałaśliwy i niespokojny tłum. Z poza całuna gęstych listopadowych mgieł wyłaniają się kontury olbrzymiej szubienicy, u której stóp widnieje olbrzymia postać, rzekłbyś karjatydy, wykutej dłutem Michała - Anioła. To mistrz Klaudjusz... Kat miasta Paryża.

Tłum zgromadził się dnia tego na placu, aby przyjrzeć się egzekucji Leonory, skazanej na śmierć za *szatańskie kłamstwo i heretycką kalumnję, wymierzoną przeciw osobie biskupa.*

Proces ciągnął się przez pół roku...

W dniu, kiedy została aresztowana, ojciec jej baron de Montaignes przebił się sztyletem, unikając tym sposobem ludzkich języków i kary sądowej.

Oskarżona skamieniała z bólu; niepodobna z niej było wydobyć ani słowa, dusza w niej umarła, dla kata pozostała jedynie bezduszna powłoka cielesna.

Proces zakończył się wyrokiem śmierci.

Wybiła dziewiąta; jęły zawodzić dzwony; rozległy się żałobne tony „De Profundis"... orszak wyruszył pod szubienicę.

Przodem szli zakonnicy, bractwo, pokutnicy, straż miejska, prefekt... wreszcie podtrzymywana przez dwóch księży, z rozpuszczonemi włosami, boso, z głową wtył odrzuconą szła Leonora.

Za nią otoczony inkwizytorami blady, postarzały... jej kochanek. Czynił to na wyraźny rozkaz z Rzymu, musiał bowiem swą obecnością dowieść tłumowi, że heretyczka rzuciła na biskupa niecną kalumnję.

Stanęła u podnóża kamienicy.

Książę Farnèse przymknął oczy i zamarł w straszliwem oczekiwaniu. Wszyscy obecni odsłonili głowy.

Długi pomruk przeleciał, jak podmuch wiatru przez szeregi zgromadzonych. Wszyscy litowali się nad delikwentką piękną i młodą, która miała za chwilę ponieść tak okropną śmierć.

Nagle cisza zaległa na placu: wielki prefekt dał fatalny znak.

Do delikwentki podszedł kat i powlókł ją po stopniach szubienicy. Już, już miał zarzucić jej na szyję stryczek... Chwila to była okropna!

Wtem Leonora szarpnęła się, wydarła się z rąk kata i padła na ziemię, przyciskając swe łono dłońmi. Z ust jej wydarł się przeraźliwy krzyk.

Wszystkie matki, obecne na placu Grève drgnęły z przerażenia... Dobrze znały tego rodzaju jęk. Nie był to wyraz instynktowego odruchu lęku przed śmiercią, lecz wspaniały krzyk bolesnych narodzin nowego życia.

W obliczu śmierci delikwentka jęła borykać się z bólami porodowemi.

Klaudjusz, kat, cofnął się; medyk przysięgły ukląkł przy chorej, badając ją; tłum zakołysał się w niecierpliwem oczekiwaniu. Gdy wreszcie medyk podniósł się z klęczek, lud ujrzał przy boku zemdlonej Leonory maluchną istotkę, wyciągającą przed siebie błagalnie piąstki, jakby mówiąc:

— Ależ ja nie zawiniłam!... Jestem niewinna! Pozwólcie mi żyć!

— To córka! Córka! — wykrzyknęła jakaś kobieta.

Tłum zamilkł, zdjęty wzruszeniem, potem nagle zgodnym chórem jął domagać się dla matki łaski życia.

Wielki prefekt nie wiedział przez chwilę, jak ma postąpić, potem zdecydował się i rzucił rozkaz: — delikwentka pozostaje przy życiu.

Zachwyt ogarnął wszystkich zgromadzonych, mężczyźni płakali, kobiety zupełnie nieznajome padały sobie w objęcia.

Leonorę ciągle jeszcze nieprzytomną odniesiono na noszach do więzienia, a dziecko?

Dziecko pozostało u podnóża szubienicy, wystawione na widok publiczny. Matka nie miała prawa zabrać go ze sobą do celi więziennej.

Biedne maleństwo czekało teraz na to, aż jakaś litościwa dusza, zechce zastąpić mu matkę. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety litowali się nad kruszyną, lecz nikt nie miał odwagi wziąć je pod swą opiekę. Córka heretyczki i kryminalistki, wniosłaby w dom nieszczęście.

A Farnèse? Jan de Kervilliers? Ojciec?

Spoglądał na dziecko posępnym, pełnym rozpaczy wzrokiem... Nie miał prawa... nie wolno mu było zbliżyć się do dziecięcia, unieść go ze sobą! A więc zginie! Zamrze, jak mucha! Och! Nie! Nie! Oto zbliżył się ktoś do dzieciny, pochylił się nad nią, wziął je na ręce i szepnął łagodnie i dobrotliwie:

— „Biedny mały fiołeczku, wyrośnięty u podnóża drzewa hańby — szubienicy... nikt cię nie chce... A więc ja zabieram cię... Pójdź do mnie... będziesz mi córką.

Litościwy mężczyzna owinął niemowlę w połę swego płaszcza, potem oddalił się z niem wolnym krokiem.

Biskup do reszty złamany wzruszeniem obsunął się w ramiona podtrzymujących go pod ręce inkwizytorów... dręczony boleścią i wyrzutami sumienia ojciec wybuchnął tłumionem łkaniem.

Litościwym mężczyzną, który przygarnął nowo-rodka, był mistrz Klaudjusz, kat miasta Paryża.

I.

VIOLETTA.

12 maja 1588 roku sześciu dostojnych szlachciców, podobnych do spłoszonych burzą ptaków, pędziło co koń wyskoczy drogą, wiodącą przez wzgórze Chaillot. Na samym jego szczycie mężczyzna jadący na czele zatrzymał się. Był blady z rozpaczy. Zwrócił się twarzą w stronę Paryża i wpatrzył się w roztaczający się przed nim krajobraz.

— O, niewdzięczne miasto! O, podłe miasto! Ty, które pokochałem więcej, niż moją małżonkę! Drżyj, wrócę bowiem do ciebie nie inaczej, jak przez wyłom w twych murach!

Od strony stolicy płynęły echa wystrzałów, zmieszane głosy... wrzaski... jęki...

Chrapliwy szloch wstrząsnął piersią patrzącego. Zacisnął pięści, jakby grożąc miastu; podniósł się w strzemionach, jakby chcąc tem łatwiej ciskać przekleństwa.

W tej samej chwili, ukazali się dwaj kawalerowie: jeden z nich mógł liczyć przeszło już trzydzie-

ści lat; był to mężczyzna mocny, twarz miał zuchwałą o nieco szyderczym wyrazie, taka twarz na długo pozostawała w pamięci. Drugi — osiemnastoletni, młodzieniec szczupły, zręczny, zachwycająco piękny, a jednocześnie pełen młodzieńczej junakierji.

Pięciu towarzyszy tego, który, jak się zdawało, ratował się z Paryża ucieczką, na widok dwóch kawalerów chcieli zachęcić go do dalszej drogi, zbieg, jednak wzniósł ręce do nieba i wykrzyknął:

— Ściga mnie jakieś przekleństwo! Wszystko mnie opuszcza! Och! Kto w tej chwili zechce ulitować się nade mną?

— Ja! — zabrzmiał donośny głos.

Do zbiega podjechał młodszy z dwóch rycerzy.

Zbieg spojrzał na niego, poczem drżącemi rękami zasłonił sobie twarz, jakby nie chcąc widzieć jakiejś straszliwej wizji. Zbielałemi ustami wyszeptał:

— To ty? Ty? Karol?! Mój bracie, czy opuściłeś twą mogiłę, aby mnie skarżyć o zbrodnię!

— Mylisz się, — odpowiedział nieznajomy. — Nie jestem tym, za którego mnie poczytujesz. Nie jestem Karolem IX.

— Kim że więc jesteś?

— Jego synem, Karolem księciem d'Angoulême.

— Ach! — warkął zbieg, — a więc to ty jesteś synem Marji Touchet i Karola? Więc to bastarda d'Angoulême mam przed sobą? Mów tedy! Czego chcesz od Henryka III, króla Francji.

— Zaraz to powiem. Opuściłem Orlean, aby się z tobą, sire, rozmówić. Przed tygodniem doszedłem do pełnoletności. Tego dnia moja matka, zawiodła mnie przed wiecznie osłonięty krepą portret, odsłoniła kiry, z pod których ukazała się twarz Karola IX.

— Mego brata! — wybełkotał Henryk III.

— Tak. Wtedy matka moja uklękła i opowiedziała mi, jak umarł człowiek, którego uwielbiała. Dowiedziałem się z jej ust, jak straszne były ostatnie chwile jego życia i jego agonja. Każdy jego jęk, każde jego westchnienie było jednocześnie groźnem oskarżeniem, wymierzonem przeciw trzem katom, trzem szatanom, których nazwiska wymieniła mi. Udałem się w drogę, aby zobaczyć się z księciem de Guise i aby rzucić mu w twarz groźne pytanie: — Zdrajco i buntowniku, coś uczynił z twoim królem?

— Gwizjusz! Zastaniesz go napewno w moim pałacu, może nawet na moim tronie! — jęknął Henryk III.

— Wyruszyłem z domu, — ciągnął dalej młody książę d'Angoulême, aby cisnąć Katarzynie Medycyjskiej w twarz: — Niecna matko! Matko bez serca! Coś uczyniła z twoim synem?!

— Królowę-matkę, zastaniesz napewno w więziennej celi pałacu Gwizjuszów! — zaszlochał Henryk.

— Opuściłem wreszcie mój dom, aby stanąć przed Henrykiem, królem Francji, i aby zawołać: — Kainie, coś uczynił z twoim bratem?!

Na te słowa ciałem króla wstrząsnął dreszcz grozy... Powtórzył głuchym głosem:

— Kain!

Wśród towarzyszy królewskich, powstał gwar, zaczęli wołać:

— Król jest zawsze królem! Niech żyje król! Śmierć potwarcy!

Dobyli szpady z pochwy. W tej że chwili towarzysz księcia Angoulême, wpadł pomiędzy nich z błyszczącym długim swym rapirem i rzekł spokojnym, lecz donośłym głosem:

— Panowie, to zatarg osobisty. Pozwólcie, że wuj i bratanek rozmówią się ze sobą. W przeciwnym bowiem razie, mogę wnioskować, że jesteście członkami rodziny królewskiej, a wtedy ja mogę zapewniać, że jestem nim również.

Pięciu olbrzymów królewskich, zgrzytnęło wściekle zębami i zbliżyło się do młodzieńca z jeszcze groźniejszemi minami.

Wtedy jednak król skinął na nich, nakazując im pomiarkowanie. Dworzanie królewscy cofnęli się, mruknąwszy pod nosem:

— Spotkamy się kiedyś!... Jeśli waść nie chcesz zataić swego nazwiska!

— Panowie, — odpowiedział nieznajomy, — broń moja i moje nazwisko jest zawsze na wasze usługi. Jestem kawaler de Pardaillan!

Pięciu towarzyszy królewskich spojrzało na mówiącego ze zdumieniem, graniczącem z podziwem i powtórzyło:

— Kawaler de Pardaillan!

Kawaler zdawał się nie widzieć wrażenia, jakie nazwisko jego wywołało na napastnikach, usunął się spokojnie na stronę, jakby całe zajście przestało go już zajmować. Pogwizdując jakąś pieśń myśliwską, jął przyglądać się zbrojnemu oddziałowi, który minąwszy bramy Paryża, zbliżał się wolnym truchtem do Chaillot.

Henryk III zwrócił się do księcia Angoulême.

— Młodzieńcze, — powiedział, — nadomiar moich nieszczęść musiałem jeszcze spotkać ciebie na mej drodze do wygnania. Proś nieba, abym, gdy wrócę na tron, mógł zapomnieć o tem, żeś mnie zelżył w chwili mego upadku!

— W dniu powrotu na tron ujrzysz mnie, sire, na stopniach twego tronu! Zedrę z ciebie królewski płaszcz! A gdy staniesz przede mną obdarty ze wspaniałych szat zawołam: — Oto jest Kain, który zabił swego brata!

Henryk III, zaczął gryźć pięści w bezsilnym gniewie.

— Narazie nie mogę cię nienawidzieć, — ciągnął dalej Karol, — mogę się tylko litować nad tobą. Paryż wygnał cię, jesteś już tylko widmem króla, dręczonem przez widmo ofiary jego zbrodni! Uciekaj, królu, bo oto depcze ci po piętach pogoń! Patrz! Aż do chwili, kiedy zostaniesz znowu królem, syn Karola IX, nie będzie cię prześladować swą sprawiedliwą zemstą.

Henryk III, blady ze wściekłości, chciał coś rzec, lecz z ust jego padł tylko niewyraźny bełkot, piersią jego szarpnął stłumiony szloch. Otaczający go dworzanie, na widok wyjeżdżającego z bram miasta orszaku zbrojnego porwali konia królewskiego za uzdę i pociągnęli go za sobą, galopując w przeciwną od stolicy stronę.

Karol książę Angoulême zapadł w zadumę, jak się zdawać mogło, odbiegając zupełnie myślami od swej zemsty; na usta jego wypłynął rozkoszny uśmiech; szepnął:

— O, Paryżu! Nietylko po zemstę zmierzam w twe bramy, lecz gonię również za miłością! Paryżu! Tu odszukam cię, piękna nieznajomo, która zabrałaś mi serce!... O, Violetto, słodki mój fiołku, kwiecie miłości!

W tej samej chwili Pardaillan zrównał się z Karolem i dotknął dłonią jego ramienia, potem wskazał na roztaczającą się przed nimi panoramę miasta. Zajrzawszy Karolowi w oczy, rzekł twardo:

— Tron jest do zdobycia, wasza książęca mość!

Karol książę Angoulême zadrżał, jakby zbudzony nagle ze słodkiego snu, potem szepnął:

— Tron?! Czy chciałbyś go posiąść?

— Nie o sobie myślę, — odpowiedział Pardaillan łagodnie; mam przed sobą inne zadanie: szukam Maurevert'a, od nie wiem już kiedy... przytem ja po-

trzebuję do siedzenia solidnego mebla... tymczasem podstawy tronu zbyt są zmurszałe... kto wie, czy nie obsunąłby się pod ciężarem mego ciała. Ty jeden, książę, mógłbyś... powinienbyś...

— Co mówisz waść?!. Opamiętaj się!

— Mówię to tylko, że Henryk Walezjusz nie jest już królem Francji, a Henryk Gwizjusz *jeszcze* nim nie jest; Henryk Nawarski spoląda na tron francuski, jak sokół na zdobycz, wszyscy czekają na francuską koronę; ja zaś chętnie zdobyłbym ją, aby nią uwieńczyć twą głowę, książę, i wypłacić tym sposobem mój zagarnięty u twej matki dług wdzięczności!

Skierowali swe wierzchowce na ścieżynę, wiodącą do wsi Montmartre.

W tej samej chwili zbrojny oddział, który, jak już zaznaczyliśmy niedawno, opuścił bramy miasta Paryża, jął wspinać się teraz na szczyt wzgórza Chaillot. Na czele oddziałku jechał trzydziestoletni mężczyzna we wspaniałym stroju rycerskim; postawę miał wyniosłą, wyraz twarzy posępny, czoło przecinała szeroka blizna. Był to Henryk Lotaryński, książę de Guise.

— Panowie, — rzekł do orszaku, — król już daleko, musimy wyrzec się nadziei wprowadzenia go do Paryża...

— Wasza Książęca Mość, rzeknij tylko słowo i daj mi dobre konie, ściągnę go do stolicy żywego, lub też martwego! — odezwał się jeden ze świty książęcej.

— Oszalałeś, mój Maurevert'cie! — rzekł książę. Panowie, uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, teraz dziej się wola nieba! A cóż to za djablica?

Na szczyt wzgórza wjechał właśnie ciężki wóz, rodzaj budy jarmarcznej, którą ciągnęła wychudła szkapa.

Kogo zainteresował początek tej pięknej powieści, niech zaprenumeruje dzieła Michała Zevaco, a otrzyma ją wkrótce w wydaniu książkowem, w broszurze lub oprawie.

EDMUND JEZIERSKI.

Wyspa Lenina.

I.

Zwołana na październik r. 193., sesja nadzwyczajna Ligi Narodów wywołała łatwo zrozumiałe zaciekawienie w całym świecie ze względu na sprawy, jakie miały być na niej rozpatrywane...

Z natury rzeczy na pierwszy plan wśród nich wybijała się sprawa komunistów, która ostateczne rozstrzygnięcie znaleźć miała i, jak twierdzono, uwolnić świat cały od potwornej zmory, gnębiącej go od lat bezmała dwudziestu...

Gdyż mimo zupełnego nieomal zgnębienia komunizmu w Rosji, we wszystkich państwach pozostały komórki złożone z najbardziej fanatycznych zwolenników nauki Lenina, wspierane przez męty społeczne, z ochotą stosujące w życiu zasadę tegoż o grabieży, a przez ciągłe wichrzenia i niepokoje poważnie zagrażające bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu...

Rozumiały też dobrze zagrażające im z ich strony niebezpieczeństwo rządy państw, i w ciszy gabinetów ministerjalnych opracowywały plan położenia kresu ich zbrodniczej działalności, a zdając sobie sprawę, że tylko solidarne wspólne wystąpienie może radykalnie rozstrzygnąć to zagadnienie, zdecydowały się załatwić ją na nadzwyczajnej sesji Ligi Narodów.

Zapowiedź tej sesji zburzyła w zupełności spokój cichej zazwyczaj Genewy, grożąc jej wprost zalewem ciekawych cudzoziemców z całego świata nieomal...

To też już na miesiąc prawie przed otwarciem sesji, wszystkie pokoje w hotelach były zamówione przez liczne delegacje, a pokoje w pensjonatach i mieszkaniach prywatnych, czasowo na nie zamienionych, rozchwytane były wprost bez względu na cenę, zwłaszcza przez Anglików i Amerykan...

Zaludniły się również okoliczne wsie i miasteczka, skąd tramwajami i autobusami napływały codziennie do Genewy tłumy różnojęzyczne, hałaśliwe, różnorodnie ubrane, przepełniające ulice i miejsca publiczne, sypiące pieniędzmi wprost bez rachunku...

Najbardziej jednak umęczone były: Sekretarjat Generalny Ligi Narodów i policja...

Do pierwszego napływały ze wszystkich stron tysiące listów i tłoczyły się tłumy, z trudem powstrzymywane przez policję, z prośbą o udzielenie biletów wstępu.

Lecz choć sala posiedzeń w nowym gmachu Ligi Narodów imponowała swemi rozmiarami, miejsca w niem przeznaczone były tylko dla delegacji i korespondentów prasy całego świata... Odmawiano też wszystkim wręcz, rezerwując niewielką ilość miejsc wolnych dla gości uprzywilejowanych...

Zadanie policji było jeszcze cięższe i trudniejsze, gdyż na barkach jej spoczywało nietylko utrzymanie porządku w przepełnionem mieście, lecz i ochrona wszystkich członków delegacji zagranicznych przed ewentualnemi zamachami komunistów, którzy w odezwach swych nie kryli się zupełnie z pogróżkami pod adresem tych, którzy o ich losach decydować mieli..

To też ściągnięta ze wszystkich stron Szwajcarji policja, powiększona jeszcze przez oddziały najlepszych wywiadowców zagranicznych, specjalnie wydelegowanych, pod wodzą szefa policji genewskiej Maurycego Danvera, pracowała literalnie dzień i noc, bez żadnych ceremonji rewidując wszystkich przybyłych cudzoziemców, wszystkie hotele i pensjonaty, oraz mieszkania prywatne na nie zamienione, oraz sam Gmach Ligi...

Wyniki tej czujności były o tyle dodatnie, że ujęto kilkudziesięciu komunistów rosyjskich, niemieckich i francuskich, oraz grupę anarchistów włoskich...

Ilu jednak mogło pozostać nieujętymi?...

W miarę zbliżania się dnia otwarcia sesji, rosła czujność, a z nią rosła i praca, gdy naraz p. Danver otrzymał z Paryża depeszę szyfrowaną, o przygotowywanym na sam dzień otwarcia posiedzeń Ligi zamachu, a jednocześnie zawiadamiającą o przybyciu w najbliższym czasie wybitnego przedstawiciela Scotland Yardu, który się wraz z nim zajmie udaremnieniem zamachu...

Zaniepokoiła ta wiadomość p. Danvera, wydał też rozkazy przeprowadzenia nowych rewizji, obostrzenia kontroli nad cudzoziemcami...

Z niecierpliwością też oczekiwał przybycia owego zapowiedzianego wysłańca, i z prawdziwem westchnieniem ulgi przyjął wieczorem dnia tego sekretarza, który mu wręczył bilet wizytowy, na którym widniał napis:

LIONEL RAUSOME

Londyn **Scotland Yard**

Nazwisko nie było mu obcem, słyszał je w wielu sprawach bardzo rozgłośnych...

— Prosić, rzekł krótko.

Po chwili do gabinetu wszedł młody jeszcze człowiek, barczysty, o gładko wygolonej twarzy i niespokojnie biegających szarych oczach, ubrany w elegancki strój podróżny, i podając mu na przywitanie rękę, rzekł:

— Jestem Lionel Rausome, ze Scotland Yardu... Przybyłem dopiero co aeroplanem w celach, znanych panu zapewne z depeszy z Paryża...

— Tak jest, — odrzekł p. Danver: — właśnie przed paru godzinami otrzymałem tę depeszę i radbym dowiedzieć się od pana bliższych szczegółów o projektowanym zamachu...

Rausome zasiadł wygodnie w fotelu przy biurku, zapalił cygaro i, patrząc wprost przed siebie, mówić zaczął:

— Policja w Paryżu otrzymała wiadomość, że do Genewy udała się najlepiej zorganizowana międzynarodowa grupa bojowa komunistyczna, która w czasie otwarcia sesji ma zamiar dokonać zamachu na Prezydjum Ligi, szczególnie zaś na delegację angielską, francuską i rosyjską... Wobec tego, że grupę tę śledziłem już oddawna, oraz, że większość zamachowców jest mi znana, szef policji paryskiej wydelegował mnie aeroplanem do pomocy panu; moi ludzie zaś przybędą koleją jutro rano... Zadaniem naszem będzie otoczyć opieką specjalną salę główną Ligi, w czasie pierwszego i następnych posiedzeń...

Zawahał się przez chwilę p. Danver, poczem rzekł:

— Dobrze... lecz... pan rozumie... sprawa jest bardzo ważna...

Słaby uśmiech przewinął się po wąskich ustach Rausome'a...

— Rozumiem ostrożność pana, — rzekł, podając wydobyte z kieszeni papiery: — proszę, oto moje dokumenty...

Przejrzał p. Danver podane mu papiery, opiewające, że okaziciel jest inspektorem Scotland Yardu, Lionelem Rausomem, i wzywające do udzielenia mu wszelkiej pomocy...

Wystarczyło mu to w zupełności, i zwracając papiery, rzekł krótko:

— Słucham pana...

Rausome niedbałym ruchem wsunął dokumenty do kieszeni i rzekł:

— Poproszę pana o przydzielenie mi jednego z pańskich inspektorów do pomocy i na przewodnika, oraz o polecenie wystawienia odpowiednich legitymacji dla moich ludzi... Jest ich dziesięciu... Oto ich spis...

— A może przydzielić panu jeszcze ludzi, nadesłanych ze Scotland Yardu? — spytał p. Danver.

Rausome namyślał się przez chwilę, wreszcie odrzekł:

— Nie, dziękuję panu... Misja moja jest specjalną i musi być zachowaną w ścisłej tajemnicy... Rozgłoszenie jej, a zwłaszcza zwrócenie na nas uwagi, mogłoby wyrządzić tylko szkodę... Dlatego też prosiłbym o zachowanie pobytu mego w najściślejszej tajemnicy, jak również i o wyznaczenie dla nas kwater oddzielnie od innych... Musimy działać bardzo ostrożnie, ażeby nie spłoszyć zamachowców...

Chociaż tajemniczość ta zdziwiła trochę p. Danvera, po chwilowym jednak namyśle uznał ją za słuszną... Wydał też odpowiednie polecenia, poczem Rausome, zaopatrzony we wszystkie legitymacje, pożegnał go, oświadczając, że następnego dnia rano zgłosi się do niego, celem ostatecznego omówienia planu działania...

Po jego wyjściu p. Danver siedział zamyślony przez dłuższą chwilę, poczem zawezwawszy jednego z najbardziej zaufanych pomocników swoich, rzekł do niego:

— Nie podoba mi się ten inspektor Rausome... Nie wiem, lecz jakieś dziwne przeczucie szepce mi, ażeby mieć się na baczności... Niech pan zarządzi ścisłą, a dyskretną obserwację zarówno jego, jak i jego ludzi... Poza tem proszę natychmiast zasięgnąć informacji co do niego w Paryżu i w Scotland Yard...

Lecz na telofoniczne zapytanie otrzymano zarówno z Paryża, jak i z Londynu odpowiedzi, potwierdzające w zupełności oświadczenia inspektora Rausome. Mimo to jednak p. Danver, mimo, że wspólnie z nim opracowywał plan ochrony gmachu Ligi, zarządzonej nad nim obserwacji nie cofnął...

II.

Nadszedł wreszcie uroczysty dzień otwarcia posiedzeń Nadzwyczajnej Sesji Ligi. Od samego rana wokoło gmachu Ligi i na prowadzących do niego ulicach tłoczyły się tłumy ciekawych, pragnących, o ile już nie uda się dostać do środka gmachu, choć zobaczyć przejeżdżających przedstawicieli państw...

Napór tłumu z trudem powstrzymywały silne kordony policyjne i wojskowe, torujące z wysiłkiem drogę przejeżdżającym samochodom, otoczonym przez policjantów w cywilnych ubraniach...

Tłum z zazdrością patrzał na szczęśliwców, zaopatrzonych w karty wstępu, których, po parokrotnem wylegitymowaniu, przyczem legitymujący bacznie jakby obmacywali ich wzrokiem, czy czasem nie mają gdzie ukrytej broni, wpuszczano do wnętrza gmachu...

W samym gmachu od świtu rezydował już p. Danver z pomocnikami swoimi... Po dokładnem, ostatecznem skontrolowaniu sali posiedzeń i przyległych pokoi, rozlokował się w gabinecie, położonym tuż obok sali posiedzeń, skąd miał sprawować komendę nad ochroną całego gmachu...

Za godzinę miało się rozpocząć posiedzenie. Sala była już przepełniona, większość delegacji już przybyła, gdy naraz do gabinetu p. Danvera wszedł śpiesznie jeden z pomocników jego i rzekł:

— Panie szefie... Przybył jakiś jegomość i pragnie z panem się widzieć, jak mówi, w nader pilnej i ważnej sprawie...

— Prosić, — rzekł krótko p. Danver, zdziwiony trochę tą wizytą...

Po chwili do gabinetu wszedł mężczyzna, podobny trochę z wyglądu do Lionela Rausome, tylko znacznie sympatyczniejszy, i podszedłszy śpiesznie do p. Danvera, rzekł:

— Pragnę z panem mówić sam na sam...

Skinieniem ręki odprawił p. Danver pomocnika i pozostał sam z nieznajomym...

Rozmowa trwała krótko... Po paru minutach zawezwał p. Danver pomocnika i, pobladły, trochę drżącym głosem, rzucił rozkaz:

— Niech pan zaraz przyśle mi tutaj sześciu najsilniejszych ludzi... Poczem zawezwie pan do mnie p. Rausome, a następnie sprowadzi pan do przyległego pokoju wszystkich jego ludzi, ale pojedyńczo, ażeby nie spostrzegli się...

Zdziwiony pomocnik wyszedł wykonać ten rozkaz, i po chwili weszło do gabinetu sześciu barczystych policjantów, którzy na znak p. Danvera stanęli pod ścianą... Poza nimi, jakby w cieniu, ukrył się nieznajomy...

Po paru minutach wszedł do gabinetu z miną rozgniewaną srodze, oburzony bezgranicznie, jakby starając się ukryć pod tą maską zaniepokojenie, Rausome, i, nie zważając na obecnych, gwałtownie zwrócił się do p. Danver:

— Pan mnie wzywał? Odwołał mnie pan w chwili najważniejszej z posterunku... Czy pan zamierza zmienić co w moich poleceniach?... Co to wszystko znaczy?...

Naraz pobladł... Z poza policjantów wysunął się ów nieznajomy, jednym skokiem dopadł do niego, rozległ się charakterystyczny trzask i ręce Rausome'a unieruchomione zostały w mocnych stalowych kajdankach...

— Wziąć go, — rzucił rozkaz p. Danver: — a teraz wprowadzać po jednemu jego ludzi...

Jeden za drugim wchodzili do gabinetu ze zdziwionemi i zaniepokojonemi minami ludzie Rausome'a, lecz zaraz za progiem chwytały ich sprawne ręce policjantów, którzy nakładali im na ręce kajdanki i odprowadzali w kąt gabinetu...

Gdy już tak weszli wszyscy, p. Danver rzucił rozkaz:

— Zrewidować ich!...

Policjanci zręcznie i szybko dokonali rewizji, i z pod ubrań ich i z kieszeni wyciągać zaczęli rewolwery i małe, jajkowate granaty ręczne...

Po chwili cały stos tych morderczych narzędzi piętrzył się na biurku p. Danvera...

Z wściekłością w oczach patrzał na to rzekomy Rausome, otoczony przez czterech barczystych policjantów, ze zdziwieniem patrzyli pomocnicy p. Danvera i policjanci...

A wtedy wystąpił naprzód trzymający się do czasu tego wciąż w cieniu nieznajomy i rzekł:

— No cóż, tow. Łubnow, nie udał się plan tak misternie opracowany i wymyślony, i posiedzenie Ligi właśnie skutkiem waszej nieobecności, odbędzie się spokojnie...

Z ust Łubnowa padło rosyjskie przekleństwo...

— Nie irytuj się napróżno, towarzyszu... nic nie poradzi, skończyło się wasze powodzenie... Zbrodniom waszym kres nareszcie położony zostanie...

A zwracając się do p. Danvera i obecnych dodał:

— Teraz mogę opowiedzieć wszystko szczegółowo. Ja jestem prawdziwym Lionelem Rausome, inspektorem Scotland Yardu, a ten tu, — to tow. Łubnow, uczeń i naśladowca ohydnej pamięci Dzierżyńskiego, szef oddziału GPU w Moskwie, a potem szef czerezwyczajki w Berlinie... Oddawna już planował on zamach na posiedzenie Ligi Narodów, myśląc, że

w ten sposób uratować zdoła komunizm od zagłady... Nie wiedział tylko w jaki sposób wprowadzić zamachowców do gmachu Ligi i do sali posiedzeń... I oto, dowiedziawszy się w tajemniczy dotychczas niewyjaśniony sposób o treści depeszy, wysłanej przez szefa policji paryskiej i o wydelegowaniu mnie do Genewy, postanowił skorzystać z wypadkowego podobieństwa do mnie... Urządziwszy z kompanami swoimi zasadzkę na mnie schwytał mnie i zabrawszy moje dokumenty, udał się tu aeroplanem, odgrywając, muszę przyznać, z powodzeniem moją rolę... Znalazłszy się tu, zdołał uzyskać dla swoich wspólników legitymacje policyjne, i odpowiednio, jak się przekonaliśmy, zaopatrzonych, wprowadzić do sali... Nie przewidział tylko jednego, że ja zdołam się uwolnić i przybyć w samą porę, ażeby udaremnić jego zamiary... Podwładni jego w Paryżu, po skrępowaniu sznurami, przewieźli mnie autobusem do jednego z domków na przedmieściu i tam wrzucili do piwnicy... Nie troszczyli się tam bardzo omnie, pewni, że się nie zdołam uwolnić z więzów... Zawiedli się srodze, gdyż po dwóch dniach zdołałem, pomimo wyczerpania głodem i walką, uwolnić się ze sunrów, wyłamałem okienko w piwnicy i wydostałem się na wolność... Na szczęście napotkałem zaraz taksówkę i udałem się do prefekta policji, skąd po uzyskaniu potrzebnych papierów, odleciałem zaraz do Genewy, gdzie przybyłem w samą porę, ażeby sparaliżować zamiary to. Łubnowa i jego bandy...

Kogo zainteresował początek tej pięknej powieści, niech zaprenumeruje Dwanaście Książek Autorów Polskich, a otrzyma ją wkrótce w wydaniu książkowem, w broszurze lub oprawie.

TEATR I MUZYKA.

Teatr Wielki i Nowy — nieczynne.

Teatr Narodowy: dziś i jutro „Sztuba“ z W. Brydzińskim.

Teatr Letni: dziś i jutro „Kłopoty Bourrachona“ z Fertnerem.

Teatr Polski: dziś i jutro „Romeo i Julja“.

Teatr Mały: komedja Fodora „Dr. Julja Szabo“.

Teatr na Chłodnej: dziś i jutro „Świerszcz za kominem“.

Teatr Ateneum: dziś i jutro „Szkoła obłudy“.

Teatr Nowości: dziś i jutro „Fiołek z Montmartre“.

Teatr Melodram: dziś i jutro „Sprawa Dreyfusa“.

Teatr Wesołe Oko: „Rumba, Rumba“.

Teatr Nowy Ananas: dziś i jutro „Od Adama i Ewy“.

Teatr Banda: dziś i jutro „Jajko Kolumba“.

Teatr Mignon: dziś i jutro „Wszystko na raty“.

Teatr Hollywood: dziś i jutro „Wiwat śmiech“.

REDAKTOR I WYDAWCA: STANISŁAW CUKROWSKI.

Zakł. Gr. Pr. Dr., Warszawa, N.-Świat 54, tel.: 615-56 i 242-40